

List do redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o łaskawe zamieszczenie w poczytnym Panów piśmie następującego oświadczenia:

Krakowski „Przegląd Powszechny” w numerze październikowym zamieścił recenzję mojej powieści p. t.: „W poprzek Sybiru”, wydanej niedawno przez Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych. Autorka recenzji, p. Zofia Starowieyska - Morstinowa, stawia zarzut, że powieść moja nie posiada pierwiastków religijnych, że nie spotyka się w niej wyrazu „Bóg”, a bohaterowie powieści są młodymi ateuszami.

Nie wiem czego Sz. Recenzentka wymaga od powieści podróżniczej w zakresie uczuć religijnych, stwierdzam jednak, iż zarzut nieistnienia w książce mojej słowa „Bóg” jest nie słuszny (proszę zajrzeć choćby na str. 135, 136 i 183). Pomówienie moich bohaterów o ateizm jest również pozbawione jest podstaw, gdyż są oni, jak to p. Starowieyska - Morstinowa pisze sama, harcerzami przykładowymi, w których zasadach życiowych tkwi wiara w Boga, o której, sądzę, nie trzeba ciągle mówić tylko po to, żeby ją stwierdzić.

Na koniec zarzut, że autor powieści jakoby świadomie dostosował się do wymagań władz szkolnych, które rzekomo popierają książki właśnie o charakterze areligijny jest wysoce krzywdzący i trudno mi wytłumaczyć sobie stawianie go pisarzowi niezależnemu, a z urodzenia i przekonani katolikowi. Skrytykowaną tak dziwnie przez p. Morstinową powieść napisałem w znacznej części będąc jeszcze na zesłaniu w Sybirze, wtedy nie było jeszcze ani Min. W. R. i O. P., ani też innych polskich władz szkolnych.

Redakcja „Przeglądu Powszechnego”, czasopisma cieszącego się ogólnym uznaniem oraz mianem poważnego i obiektywnego organu winna wejść w sprawę tych recenzji literackich.

Dr. Tadeusz Dybczyński.

Warszawa, w październiku 1937 r.

Książki na ulicy

Zagadnienie, które musi być rozwiązane

Przechodząc kiedyś Polną koło Politechniki, widziałem taki obrazek: Stojące koło chodników trzy wózki z książkami oderwały się nagle, jakby na komendę, od swoich miejsc postojów, kierując się ku środkowi placu; zatoczyły trzy wielkie koła i wróciły dokładnie na swoje poprzednie miejsca. I handel rozpoczął się na nowo.

Przyczyna tych niezwykłych manewrów była prosta: Granatowa władza z paskiem pod brodą. Niebezpieczeństwo minęło — wózki powróciły na swoje miejsce.

Handel książkami jest czymś nielegalnym. Sprzedawca książek ucieka przed reprezentantem władzy, ucieka przed martwą literą przepisów administracyjnych. A niechby sobie takie wózki z książkami stały chociażby na wszystkich rogach ulic — myślałem wówczas, — niechby wózki z tanim drukowanym słowem obstawiały wszystkie ulice, wszystkie miasta, przedmieścia, wsie.

Książka jest u nas jeszcze ciągle luksusem, przedmiotem zbytku, stepnym dla ludzi bardzo zamożnych, lub... recenzentów. Tego, kto udostępnił jej nabycie, kto tanio książkę wynosi na ulicę, wtyka ją niemal do ręki przechodniowi, nie tylko, że ścigać nie należy, ale nagradzać jeszcze wypada. I nikt się na pewno na takie nielegalizowanie, skądinąd słusznych przepisów policyjnych, oburzać nie będzie.

Uliczny sprzedawca książki, to cichy, nieznanany pracownik kultury, najpoważniejszy kandydat do wawrzynu. Książka na ulicy to ideał.

Tak sobie myślałem, widząc małe granatowej władzy i trzech wózków z książkami na placu Politechniki.

NIE MA...

— Proszę „Pana Tadeusza” w popularnym wydaniu, — zagadnąłem sprzedawcę tanich książek na tymże samym placu Politechniki.

— Nie ma.

— To może coś Siowackiego?

— Nie ma.

— A „Ogniem i mieczem”?

— Też nie ma.

Nie było i Krasieńskiego, i Prusa, i Kasprowicza. Nie było nawet... Marii Dąbrowskiej.

„STO PROCENT NAPIĘCIA”

Zafrasowany moimi żądaniami sprzedawca zaproponował mi „Jarmark rymów”. Nadęty żydek puszczał sobie na okładce „Jarmarku” bańki z mydła. Był jakby symbolem tego rodzaju literatury. Podziękowałem usłużnemu sprzedawcy za „Jarmark rymów” i zacząłem rozglądać się sam po wózku.

Wielki tytuł „Apaszką”, a pod nim twarz jakiegoś karykaturalnego wampa i rzekomo zachęcający podtytuł: „sto procent napięcia”. Obok zaraz wyciągnięta ręka z dymiącym rewolwerem i tytuł „Musiałem zabić”, dalej „Gra o życie”, którą prowadził prawdopodobnie „Czerwony dowódca” u-honorowany zaraz następną wielką krawistą okładką.

Znalazło się również „Czarne na białem” M. Iljina (nie mylić z płk. Grzędzińskim), potem „Ja i miłość”, wreszcie „Jeden wśród trzech” i na zakończenie „Od Nalewki do wieży Eiffa” bohatera p. Schneidermana.

ŹRÓDŁA DOSTAWY

Obok tej „literatury” kilkadziesiąt książek o treści pseudonaukowej, parę poradników świadomości macierzyństwa i kilka słowników o więcej niż problematycznej wartości. To wszystko, co zaproponował mi cichy pracownik kultury, uliczny sprzedawca książek.

— Gdzie zaopatruje się pan w książki?

— Mam jednego dostawcę, a prócz tego sam od czasu do czasu obchodzę takie „źródła”, gdzie można dostać tanie książki.

— I nigdy nie prosił pan, żeby panu dostarczono Sienkiewicza, Mickiewicza?

— Prosiłem. Bo nawet parę osób pytało mi się o te książki. Przeważnie uczniowie, albo studenci — dodaje dla wyjaśnienia.

— Ale mój dostawca tych rzeczy nie ma. A przecież kupowanie w firmie wydawniczej w żadnym wypadku mi się nie opłaca. Ja z tego żyję — sprzedaję tanio, ale muszę kupować jeszcze taniej.

O DOBRĄ KSIĄŻKĘ

Zagadnienie książki na ulicy jest bardziej skomplikowane, aniżeli się to na pozór wydaje. Książka to nie wszystko, tania książka to też jeszcze nie wszystko, dobra i tania książka to dopiero byłby tytuł do sławy ulicznego sprzedawcy książki.

Wiele dla poprawy stosunków w tym względzie mogłoby zrobić wydawcy, wiele mogłaby zrobić sama granatowa władza, która dziś ogranicza się tylko do przepędzania z miejsca na miejsce sprzedawcy książek, zamiast badać, co on sprzedaje i komu sprzedaje, wiele wreszcie może, tu działając kupującą publiczność, żądając odpowiednich dzieł.

Dzisiaj, po takim doświadczeniu, trudno mi jest nazwać ulicznego sprzedawcę książek — cichym pracownikiem kultury. Nie straciłem dla niego sympatii, bo robi, co może, żeby książka dotarła do każdego.

Dobra i tania książka na ulicy — to ideał... jeszcze dziś nieosiągalny. Nieosiągalny dopóty, póki ulicznemu sprzedawcy książek towaru dostarczać będą Nalewki, póki autorzy i wydawcy nie zdecydują się kosztem pewnych własnych, może przykrych i trudnych ofiar, dać przechodniowi tanią i dobrą lekturę.

Ika.

Pod ostrym kątem

Historia pewnej sensacji

— Cemu pan tak źle wygląda, panie Zbigniewie? Błdy, oczy podkrążone, kaszle pan... Czy pan nie chory?

— Ależ skąd? Po prostu graliśmy z kolegami w karty całą noc w Klubie Wioślarskim, a rano wykapatem się w Wisłę i dziś jestem nieco przeziębiony.

— Spotkałem Zbigniewa.

— Cóż tam słychać u niego?

— Wyobraź sobie, wczoraj zebrał swoich przyjaciół w Klubie Wioślarskim, całą noc nie spał, Bóg ich raczy wiedzieć co robili. Rano Zbigniew wykapał się w Wisłę i dziś zrobił na mnie wrażenie człowieka nawskroś chorego...

— Nieszczęśliwy ten pan Zbigniew!

— Co mu się stało?

— Tylko nikomu ani słowa! Miał jakieś tajne, nocne zebranie w Klubie Wioślarskim, a rano wrzucili go do Wisły.

— Mój Boże! A uratowano go?

— Tak, ale mało nadziei...

— Czy pan słyszał najnowszą sensację polityczną?

— Mianowicie?

— Jakieś tajne zebranie polityczne w Klubie Wioślarskim, na którym usiłowano zamordować Zbigniewa, wrzucając go do Wisły.

— Naprawdę?

— Zarecam panu słowem honoru! Wiem o tym z wiarygodnych ust...

„ROBOTNIK”

Wczoraj w nocy policja dokonała nagłej rewizji w lokalu Klubu Wioślarskiego. Rewizja ujawniła moc sensacyjnych szczegółów natury politycznej, które ze względu na dobro śledztwa zachowane są narazie w tajemnicy.

Z wiarygodnych źródeł dowiadujemy się, że chodzi tu o pewną grupę polityczną, utrzymującą bliski kontakt i finansowaną przez światowy związek faszystów.

„NASZ PRZEGŁĄD”

Lokal Klubu Wioślarskiego okazał się być tajnym lokalem nielegalnej organizacji antysemitki.

Do lokalu tego weszła policja zaalarmowana wołaniami o ratunek. Okazało się, że rozpanoszeni chuligani zrabowali podstępnie do swej meli-biednego, sparaliżowanego, bez rąk kalekę żyda, weterana wojny światowej, którego po uprzednim męczenniu wrzucili do Wisły.

Co na to Rada Ministrów?

„GAZETA POLSKA”

„List do Redakcji”. Szanowna Redakcjo! Niniejszym proszę o zamieszczenie tego listu w poczytnym piśmie Sz. Panów.

Wobec pogłoszek dotyczących się Klubu Wioślarskiego, mam zaszczyt na wszelki wypadek stwierdzić, że już od czterech miesięcy do wyżej wspomnianego klubu nie należę.

Z poważaniem
(—) Alojzy Łojalny - Cichuteńko, Redca Izby Skarbowej.

„P.A.T.”

(Kom. urzęd.). Ze źródła miarodajnego otrzymujemy następujące informacje:

Przeprowadzona w związku z notatkami w prasie codzienniej, inspekcja w lokalu Klubu Wioślarskiego wykazała brak cennika w bufecie wyżej wspomnianego klubu, za co obłożono grzywną dziesięć złotych tegoż bufetu.

Lokal Klubu Wioślarskiego pozostaje pod obserwacją policyjną.

IPO.

Polski malarz Parany

Wystawa polskiego artysty w Rio de Janeiro

Artysta malarz Czesław Lewandowski, którego wystawa obrazów cieszyła się w Kurytybie wielkim powodzeniem, zebrawszy po kilkumiesięcznym pobycie nad morzem odpowiednią ilość prac, urządza już drugą z kolei wystawę swych obrazów.

Czesław Lewandowski jest doskonałym znawcą folkloru brazylijskiego i świetnym pejzażystą.

O jego pracach wyrażają się nader pochlebnie czasopisma kulturalno-artystyczne, nazywając go „polskim malarzem Parany”.

Po za pracą artystyczną Cz. Lewandowski zajmuje się organizowaniem kół polskich, prowadząc szeroką propagandę Polski na terenie Ameryki Południowej.



Dzieci angielskie i w ogródku dziecięcym przyzwyczajają się do masek przeciwigazowych.

Złodzieje cudzej sławy

Portret Kopernika w pawilonie niemieckim

Omawiając słabe strony państwa polskiego na Wystawie międzynarodowej w Paryżu, pominięto dwa fakty dość charakterystyczne, ilustrujące stosunek do nas naszych sąsiadów i, pogodną nonszalaną miarodajnych czyn-

ników. W pawilonie sowieckim na jednym z propagandowych malowideł zamieszczono transparent z napisem: „Śmierć polskim le-gionom”.

W przeciwnym przybytku hit-

lerowskim znajdujemy rzecz jeszcze bardziej interesującą: oto na ścianie mieści się obszerna oszklona szafka z portretem Kopernika i dokumentami mającymi niewątpliwie stwierdzać niemiecką przynależność narodową wielkiego astronoma. Tuż obok — na stoliku umieszczono dla ostatecznego poparcia tezy niemieckiej dziełko naukowe w języku polskim: „Akta grodzkie miasta Torunia”, wydane przez Tow. Naukowe Toruńskie. Papierowe wkładki oznaczają miejsce, w których wspomina się (w wydanych aktach miejskich) nazwiska krewnych Kopernika, zwłaszcza jego dziada Watzelrodego. W ten sposób tworzy się potężna sugestia co do niemieckości naszego torunianina, którego wyniosła postać zdobi jednocześnie pawilon polski na wystawie!

Zdaje się, iż władze polskie winny zwrócić bacniejszą uwagę na te „życiwe” pokazy ze strony naszych sąsiadów, które nie napotykały też na jakąkolwiek reakcję w zachrypniętej od reklamowego hałasu prasie francuskiej.

Mówiacy pomnik
oczywiście w Ameryce

Waszyngton może poszczycić się jedynym w swoim rodzaju pomnikiem, który nie stoi milcząc na swym marmurowym cokole, lecz codziennie przemawia do przechodniów, głosząc donośnie sławę człowieka, którego wyobraża. Pomnik ten przedstawia Kolumba, i piękną angielszczyzną powtarza codziennie słowa: „Ja odkryłem Amerykę”.

Mieszkańcy Waszyngtonu są bardzo dumni ze swego jedynego w świecie mówiącego pomnika i z pomysłowości amerykańskich inżynierów.

Coprawda, owi wynalazcy nie liczyli się zbytnio ze ścisłością historyczną. — Kolumb bowiem mówił po hiszpańsku, portugalsku i włosku, ale nie znał ani słowa po angielsku.

Uwaga dla Pań Najwięcej zadowolona Wytwornej Pani daje matowy Krem Ogórkowy Nr. 268 niezastąpiony pod puder i szminek Wyrobu Labor. Kosmet. Fr. Marynowskiego. i Skł w Warszawie

JACEK BRZEZINA

67)

PANI NA PUSTYNNYCH SZLAKACH

POWIEŚĆ

Anglik bez słowa podszedł do aparatu nadawczego i począł wystukiwać depeszę. Nie można było tracić czasu. Bunt załogi abou-kemalskiej mógł mieć nieobliczalne skutki dla całej Syrii i Bliskiego Wschodu.

Po chwili jakiś znowu w lochach, by po uciążliwym marszu znaleźć się przed niskim umieszczonym nad ziemią otworem, z którego sączyło się nieco światła.

Przyczółkali się do samego wyjścia. Z tamtej strony obracała się pompa wodna, parszając wokoło ulewą wody, w dole szumiały leniwe fale Eufratu.

Grave natychmiast pojął sytuację. Otwór wyjściowy lochów był ukryty za pompującym z Eufratu wodę kołem, nad którym musiała czuwać wspomniana przez Sęka straż.

Wysunęli ostrożnie głowy. Przed nim w odległości pół metra obracało się koło, w górę dyndały brudne pięty siedzącego na nasypie Araba. Na kolanach trzymał karabin.

Decyzja zapadła szybko. Strażnik nawet głosu nie zdołał z siebie wydobyć, gdy nagle szarpnięcie ściągnęło go w dół, i wpadł w żelazne kleszcze czterech ramion, które zdławiły go prawie na śmierć.

— Niech pan słucha, panie Sęk. — Leżeli na nasypie nad rzeką, obserwując przez gęstą zarośla okolicę. Arab leżał związany w podziemiach. — Przed chwilą wezwał depeszą radiową garnizony z Deir-el-Zor i Palmiry. Powinny za parę godzin być na miejscu. Musi im pan wyjść naprzeciw i dokładnie poinformować o sytuacji

— A z panem co będzie?

Anglik wrzucił ramionami.

— Ja tutaj zostaję.

— Ależ złapią pana.

— Trudno. Słyszczał pan, co powiedziała pani d'Anduston, gdy sierżant wyraził chęć zamordowania mnie... Nie mogę pozostać jej dłużnym. Muszę wyostać ją z fortu. A poza tym jest tam przecież i pułkownik. Jego też trzeba ocalić. Gdy dojdzie do bitwy, zamordują ich...

Archeolog patrzył ze zdziwieniem na Grave'a.

— Pułkownika ocalić, to jeszcze rozumiem, ale ja... Czyż nie widzieliśmy, jak z zimną krwią zamordowała Bogu ducha winnego Araba? Krzyż uczucia ludzkiego w niej nie ma. Dobry uczynek robi ten, kto ją zgładzi z tego świata...

Anglik przerwał mu machnięciem ręki.

— Pan może mieć swoje zdanie w tej sprawie, a ja mam swoje. Proszę już iść, bo nie ma czasu. Dowódcę wojsk, które tu nadszły, może pan powiedzieć, że jestem w forcie.

Sęk zsunął się do lochu i powrócił ustrojony w haik i bur-nus. W ostateczności mógł wyglądać na Araba.

Rozstali się serdecznie. Zaden z nich nie przypuszczał, że się jeszcze kiedy zobaczą.

Archeolog znikł w krzakach i niedługo potem widać go było kroczącego środkiem wiodącej do miasta drogi. Podpierał się kijem i szedł zgarbiony powłócząc nogami.

— Piastra w łapę bym mu wsadził, gdybym go spotkał na ulicy. Typowy arabski żebrak — zaśmiał się sztucznie Grave (boć na śmiech zapuścił mu się nie zbierało).

Został na straconej paluście, by bronić kobiety, z którą właściwie nic go nie łączyło, którą sam chciał zaprowadzić do więzienia. Jednak musiał jej bronić... nakazywały mu to honor i sumienie.

Tymczasem sierżant Feher nadawał na cztery strony świata szyfrowane depesze, wzywające do buntu przeciwko ciemniom i gniebielom arabskich krajów. Nie wiedział jednak, że depesze te na parę minut uprzedziły inne depesze...

XXI

Kurz podniesiony przez jadące na przodzie samochody wdzierał się do oczów żołnierzy. Stłoczeni w przyciasnych „kamionetkach”, rozpaleni południowym słońcem, kieli, choć dusze rwały się w nich na myśl o walce.

Zarosłe, zahartowane w pięcioletnich walkach w Marokko i Algierze chłopcy, o błyszczących oczach i zawadiackich minach; zbieranina z całego świata, hołota i arystokracja, bywalcy więzień i salonów; dziś wszyscy w jednakowych piaszkowych drelach z karabinami w ręku, ożywni jedną myślą...

— Będziemy znowu bić... — zaciera ręce Wojciech Breguła, chłop z Poznańskiego, którego sumiaste włosy ogładają chyba cały świat, a bliźni i ordery świadczyły, że nie za darmo oglądanie to się odbywało.

Ryż jak szczotka do czyszczenia koni Szkot Mc Cormick pyka z flegmą fajeczkę i żałuje, iż nie zdążył wziąć whisky do manierki. Pragnienie przód bitwą zawsze ma siarczyste.

Popow, były lejbgwardzista i arystokrata rosyjski, później zaś znany szuler karciany, ogłada z uwagą części karabinu maszynowego, z którym dziś niemniej zrecznie potrafi się obchodzić jak dawniej z pięknymi kobietami lub kartami. Uśmiecha się do siebie i mruczy pod nosem: „Ileż tam na horu kozaki stoju...”

...Legia cudzoziemska jedzie poskromić abou-kemalskich buntowników.

Kapitan Ferraro, jadący w pierwszym samochodzie, rozmyśla nad wytworzoną sytuacją.

Nie minęła jeszcze godzina od chwili, gdy radiotelegrafista garnizonu w Palmirze odebrał tajemniczą depeszę o buncie w Abou-Kemalu i przestroge, „by uważano na inne garnizony”.

(D. c. n.).